

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ZOFIA ROGOSZÓWNA

Dzieci Pana Majstra

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Zofia Rogoszówna (1881–1921) – swoje życie związała z dziećmi. Zajmowała się psychologią dziecka, nauczaniem, pracowała społecznie w oświacie ludowej.

Pisać i wydawać książki zaczęła w 1910 roku. Najpierw były to wspomnienia z dzieciństwa, nowele o psychice małego dziecka, potem powstawały kolejne znakomite utwory literackie, pełne fantazji, baśniowe, pisane z myślą o małym czytelniku. Należą do nich między innymi: „Sroczka kaszkę warzyła”, „Klituś bajduś”, „Koszałki opałki”, „Dzieci Pana Majstra”.

Zofia Rogoszówna dokonała też kilku przekładów pięknych baśni. „Piotruś Pan” J. M. Barriego, „Zazulka” France’a, „Pierścień i róża” Thackeray’a dzięki niej pozostały na stałe w dziecięcych lekturach.

„Dzieci Pana Majstra” to książka zawsze chętnie czytana. Prosty, rytmicznym wierszem pisana opowieść o rozbisurmanionych pociechach majstra Tygodnia i jego żony Niedzieli bawi, a swawole dzieciarni i niebezpieczna przygoda trzymają czytelnika w napięciu. W tej bajkowej opowieści autorka ukryła sporo morałów i przykazań, ale dzięki żywej akcji, barwnym postaciom dzieci, dzięki przygodom przyjmuje się je łatwo, a codzienne rodzicielskie uwagi o tym, jak należy się zachowywać, przestają być nudne.

ROZDZIAŁ I

Tatko, mama, dzieci

Majster Tydzień, chwyt nad chwaty,
będzie temu lat już wiele,
ujrzał, świeżą niby kwiaty,
młodą pannę – Imć Niedzielę.

Duchem posłał do niej swaty,
było trochę ceregieli,
lecz że chwyt to był nad chwaty,
więc spodobał się Niedzieli.

Jak się zwykle potem zdarza,
już organy grzmiały w kościele,
to Imć Tydzień od ołtarza
wiedzie żonkę – Imć Niedzielę.

Dziatek dał im Bóg sześcioro,
nie za wiele, nie za mało;

córki z matki wdzięk swój biorą,
chłopcy zuchy gębą całą.

Syn najstarszy jak antałek;
młodszy znów jak pomidorek,
pierwszy – zwie się: Poniedziałek,
drugi – mamin pieszczoch: Wtorek.

Dalej dziewczę jak jagoda
(czub z kokardą ma na głowie),
ksiądz ją ochrzcił mianem: Środa –
liczko kraśne, oczka sowe.

Za nią drepcze Czwartek mały,
co na każde imieniny
chrustu zjada półmich cały,
pączków zaś – ze trzy tuziny.

Piątek, tym się mama biedzi –
na nic prośby jej i trudy,
Piątek nie je nic prócz śledzi
i dlatego jak śledź chudy.

Mniejsza odeń o dwa cale
to Sobota jest krąglutka
(wszystko zmiata doskonale),
a rodzeństwo zwie ją: „Butka”.

Dobrze chowa się gromadka,
dzieci zdrowe jak orzechy,
aż się trzęsie biała chatka,
taki gwar w niej, hałas, śmiechy.

O nic dziatwa się nie troska,
ciągle figle, ciągle psoty,
że niech ręka broni boska,
co Niedziela ma roboty!

Wtorek majtki zdarł na płocie,
Czwartek się po rynnie wspina,
Piątek zgubił trzewik w błocie,
Środa wpadła do komina.

A prym wiedzie Poniedziałek!
Toż nie stracił omal ducha,
kiedy z dachu, niby wałek,
wprost do matki spadł fartucha.

Za urwisów starszych piątką
i Sobótka też, głupiutka,
wszystko robi jak małpiątko,
choć taka jest malutka!

Głośno śmieją się sąsiadki,
że pocziwa imć majstrowa
na hultajów, na gagatki
wszystkie dzieci swe wychowa.

Pod jej okiem śmiało broi
rozhlukana ta czereda,
bo się matki nic nie boi.
Gorsza bywa z ojcem bieda.

Bo z Tygodnia majster tęgi:
„Furdum, burdum, mocium panie!”
Kto zawinił – bez mitręgi
na warsztacie bierze lanie.

Lecz gdy widzą swawolniki,
że im grozi basarunek,
wraz podnoszą lament, krzyki:
– Mamo! Mamo! Na ratunek!

A już matka zadyszana
dłoń karzącą wstrzymać leci.
– Na toż wyszłam za waćpana,
byś niewinne dręczy i dzieci?

– Żono! Toć mu wziętem z garści
roztrzaskany zegar gdański!...
– Jak to? Zegar miłszy waści
niż rodzony synek pański?

– Duszko! Lecą ze mnie spodnie,
Wtorek pociął moje szelki...
– Chciał mieć lejce niezawodnie!
Ot, chłopięce to figielki!

– Spójrz na buzie twych dziewczątek:
miód wykradły ze spiżarki...
– O, te wejdą w każdy kątek,
będą dobre z nich kucharki.

– Pieprz mi wsypał do tabaki
twój synalek, żono, trzeci,
– I chcesz karać za żart taki?
Toć to, mężu, jeszcze dzieci!...

– Muszą, muszą wziąć raz baty,
ty je, matko, nadto psujesz!
– Tydziu! Rzekłeś mi przed laty,
że nad życie mnie miłujesz!

Tu majstrowa w głos za szlocha
(majster dłonią przytka uszy).
Tydzień bardzo żonę kocha,
łzom jej ulżyć rad by z duszy.

Choć się jeszcze srożyć stara:
„Furdum, burdum, mocium panie!”
W zapomnienie idzie kara,
dyscyplina już na ścianie.

– Precz, hultaje! Precz, zbytnice! –
huknie jeno majster z góry.
– Bo jak które z was przychwyć,
to obłupię je ze skóry!

Na gorący ten traktament
nie czekają lube dziatki,
lecz ogromny czyniąc zamęt
wszystkie nikną z oczu tatki.

Gdy Niedziela to zobaczy,
drzwi zamyka po cichutku
i męzulka miodkiem raczy,
gładząc rączką po podbródku.

ROZDZIAŁ II

Jak się zakończyła wesola zabawa

Lecą dziatki w wielkim pędzie,
każde z tęgą chleba kromą,
aż przycupły w polnej grzędzie,
zasłonięte górką stromą.

– Ano, było strachu trocha –
Poniedziałek jedząc rzeczce –
szczęściem tatko mamę kocha,
więc nam zwykle się upieczce.

– Muszę jednak przyznać sama
(w Środzie budzi się sumienie),
że ta nasza biedna mama
wielkie z nami ma strapienie.

„Tatko taki! Mama taka!”
Każde z dzieci rzuci słówko...
Wtem Sobótka spoza krzaka
rzeknie, kręcąc płową główką:

– Ziebym takie dzieci miała,
cio nić nie chcą słuchać taty,
tobym siama im wsipała
na wałstacie dobre baty!

– Nikt nie pyta ciebie, Butko!
Więc najlepiej milcz, maleństwo! –
Tak z dzieciną zwięźle, krótko
rozprawiło się rodzeństwo.

– Jednak słuszność ma Sobótka –
po namyśle Środa powie. –
Mama taka dobra, słodka,
a nam wiecznie figle w głowie.

– Co tam wdawać się z szkrabami! –
Poniedziałek huknie z śmiechem.
– Toć rodzice mówią sami,
że zabawa nie jest grzechem.

Lecz dziewczęta przecie tchórze,
stąd morały o poprawie.
Siedźcie zatem tu, na górze,
a my zjedziem w dół, po trawie...

– Wiwat! – krzykną chłopcy. – Brawo!
I szalona zjeżdża czwórka:
ten na lewo, ten na prawo,
echem śmiechów tętni górka.

W płacz dziewczynki: – I my z wami,
nie boimy się ni troszki!
– Nie wdajemy się z babami,
co udawać chcą świętoszki!

Gdy usłyszysz to Sobótka,
szybko z łez ociera oczy
i, jak piłka okrągłutka,
już za braćmi w dół się toczy!

Środa waha się przez chwilę,
lecz gdy cała piątka hula,
czyż wypada zostać w tyle?
Więc się także na dół stula.

– Jest Sobótka! Jest i Środa,
a to zuchy dziewczyniska! –
I tu każdy z braci doda:
– No, siostrzyczki! Dajcie pyska!

Wszyscy razem, wszyscy w zgodzie
pną się użyć cudnej sanny,
każdy pragnie być na przodzie:
Pędzą chłopcy! Pędzą panny!

Toż to radość! To zabawa!
Ziemia kręci się dokoła,
jak aksamit miękka trawa,
a jak ślicznie pachną zioła!

Hejże, z górki na pazurki!
Hulaj dusza bez kontusza!
W takim pędzie lecą z górki,
aż w urwisach rośnie dusza!

Trach! roztargał się fartuszek,
tu tasiemka! Tam guziki!
Ten potoczył się na brzuszek,
śmiechy, wrzaski, piski, krzyki!

Aż się słonko śmieje w górze i
spogląda w dół ciekawie;
aż skowronek ścichł w lazurze
przypatrując się zabawie.

Dzieciom pot już z czoła kapie,
dyszy Środa, dyszy Wtorek;
ten jak miech kowalski sapie,
ten wywiesił swój ozorek.

– To mi jazda! To parada!
Tchu nie mogę złapać w płuca... –
Poniedziałek ciężko siada,
lecz natychmiast w bok się rzuca.

– Dzieci! – na rodzeństwo kiwnie.
Niech popatrzy, proszę, które,
czemu tak mi jakoś dziwnie,
jakbym wziął od tatka w skórę?

Gwałtu rety! Spojrzą dziatki:
z hajdawerków pana brata
jeno strzępy, jeno szmatki,
na nic zdarta cała szata!

Na ten widok każdy czuje
(oto skutki są swawoli),
że go też coś piecze, kłuje,
że go też coś trochę boli.

Spójrzcie tylko na ich miny!
„Dziura! Dziura!” – słychać krzyki.
W strzępach nawet koszuliny!
Wszystko do cna zdarły smyki.

Ach, bo cudna jazda owa,
co się zdała jedną chwilką,
a dla ubrań tak niezdrowa,
trzy godziny trwała... tylko.

Jak pokazać się tak komu?
Choć do mysiej skryj się dziury...
Jeśli ojciec będzie w domu,
toż dobierze się do skóry!

Za czym wszystkie w płacz dziatki,
kiedy gruby Czwartek wrzaśnie:
– Góra zdarła nam majteczki!
Niech ją za to każdy trzaśnie!

Na to walka w mig zawrzała,
każdy ziemię bije, łupie,
gdy znów rzeknie Butka mała:
– Wy jesteście baldzio głupie!

Prawda! Spojrzą na się dziatki –
cóż im z bicia góry przyjdzie? –
Czyż naprawi to ich szmatki?
Co tu robić? Hańbo! Wstydzie!

Najpierw zatem dwie siostrzyczki
z buzią w pąsach, z łezką w oku
ciągną z trudem swe spódniczki
i spinają je na boku.

Z braćmi gorszy jest ambaras...
Czym zastąpić zdarte szmatki?
A wtem Środa: – Mam coś dla was!
Z liści wam porobię łatki!

– Ach, ty mądra! Ty poczciwa! –
Już przy malcach Środa siada,
liść za liściem rączką zrywa,
dziwne łaty z nich układa.

Gdy podniosły się grubaski,
śmiech każdego porwał pusty.
– Mój liść wklęsły! A mój płaski!
Mój z łopuchu! Mój z kapusty!

Lecz czy Środy dobre chęci
zechce uznać srogi tata?
Czy rad będzie z tych pieczęci
zieloniutkich jak sałata?

– Do dom nie ma wracać po co,
bo tam zaraz bomba pęknie;
trzeba skryć się gdzie przed nocą –
Poniedziałek dzieciom rzeknie.

Na południe właśnie dzwonią,
gdy spod górki w lęku, wstydzie,
przytrzymując liście dłonią,
na włóczęgę dziatwa idzie.

ROZDZIAŁ III

Czego się Środa dowiedziała od mądrego Kruka

Idą, idą w szarym pyle
utrudzone wlokąc nogi;
aż uszedłszy blisko milę
na rozstajne przysły drogi.

Gdzie się zwrócić? W którą stronę?
Słońce tak nieznośnie pali:
dzieci głodne, pomęczone,
żadne iść nie może dalej.

Płyną łezki z ocz Sobótce:
– Stłasnie pusty dziś mój bzusek!...
Piątek piszczy: – Umrzem wkrótce!
Czwartek buczy: – Ja chcę klusek!

Wreszcie między wrzosów krzaki,
pod skrzypiącym drogowskazem,
jak Cyganie, jak żebraki
wszyscy się pokładli razem.

Podłożywszy pod się rączki,
wnet zasnęły małe smyki,
jeden widzi przez sen: pączki,
drugi widzi: naleśniki.

I gdy leżą tak pokotem,
gdzieś z zachodniej nieba strony
z wielkim szumem i łopotem
nadleciały dwa gawrony.

Większy spytał się mniejszego
(bo to gawron był i wrona):
– Czyś słyszała coś nowego,
żonko moja ulubiona?

Wrona na to: – Kra! kra! kra!
Jest nowina jedna zła,

lecz nie powtórz jej nikomu
dzieci majstra
po kryjomu
wyszły z domu.
Nie wróciły na południe.

Wilk je może
pożarł w borze
albo wpadły w jaką studnię.

Majster rwie na głowie włosy,
matka szlocha wniebogłosy –
bo już pewność jest niezbita,
że z urwisów majstra – kwita!

Gdy tak wrona kracząc gada,
Środa, niby mały duszek,
pod drogowskaz się zakrada
i nastawia pilnie uszek.

– Ha! – rzekł gawron – tak się zdarza,
gdy kto dzieciom zbyt pobłąża.
Niechże jejmość więc pamięta
dobrze chować gawronięta.

Bo to proszę jejmość żony,
kto chce dzielne mieć gawrony,
tęgie w dziobie, tęgie w duchu,
musi uczyć je posłuchu.

Skoczy wrona obrażona:
– Po co waść to mówisz do mnie?
Toć rzecz dawno dowiedziona,
że ja dziatki chowam skromnie.

Ostro trzymam wszystkie w łapie,
każde mores dobrze zna,
gdy na psocie które złapię,
zaraz łaję: „Kra! kra! kra!”

Zafurczały, zakrakały
i z łopotem uleciały.

– To doprawdy nie do wiary –
Środa, oczka trąc, powiada –
toć z tą wroną gawron stary,
niby tatko z mamą gada!

Ach, gawronkom małym dobrze,
choć się bawią przez dzień cały

Ich ubranko się nie podrze
i nie będą pasów brały.

Gdy tak Środa smutnie biada,
kryjąc w rączkach oczka łzawe,
chmara ptasząt z góry spada
czyniąc wielki zgiełk i wrzawę.

Skądże naraz tyle ptaszków?
A to wróble, dudki, trznadłe
z dwóch maleńkich gawronaszków
śmieją się i kpią zajadle.

– Patrzcie! Patrzcie! Gawronaszki
pogubiły ogonaszki!

Ojca, mamy nie słuchały,
w przyjaźń się z kocurem wdały.
Kot niecnota
hyc! zza płota,
poturbował gawronaszki,
poukręcał ogonaszki!

Tu ćwierknęła imć dzierlatka:
– Kto nie słucha mamy, tatka,
dudy stroi,
bo się boi,
że mu tatko
kurtę skroi!
Bez ogonka chodzić wstyd!
Ćwirku, ćwirku, wit! wit! wit!
I z świergotem, śmiechem, wrzawą
poleciały w lewo, w prawo.

A nieszczęsne dwa gawronki
z wstydu się pod pierzem płoną,
kryją kuse swe ogonki
i łyż gorzkie w trawę ronią.

Pokiwała Środa głową
i do siebie rzekła z cicha:
– Wszystkim dzieciom jednakowo,
wszystkich doła równie licha.

Wtem spod nieba ktoś zawoła:
– A wy skąd tu, wiercipięty?! –
I nadleciał kruk jak smoła,
a miał oczy jak diamenty.

Gawronaszki hyc! na nóżki:
– Wujku kruku, wujku stary,
ty na służbie jesteś Wróżki,
co zna różne mądre czary;
popatrz, jaka łysa skórka:
to nam kocur wydarł piórka!

Poproś, poproś ją, wujaszku,
niech nam da po ogonaszku.
Będziem kochać cię bez miary,
bo się strasznie boim kary.

Gdy się dziatwa kruka czepia,
z wrzosów znów wystrzeli główka.
Środa w kruka oczka wlepia,
nie chcąc stracić ani słówka.
Kruk miał wujków przymiot rzadki:
gawronięta psuł po trochu;
nieraz wstawiał się u matki,
kiedy klęczeć miały w grochu...

Więc się z wolna w łeb poskrobie:
– Hm, więc macie dostać łaźnię...
a pan ojciec tego dziobie... –
Tu gawronki piły: – Właśnie!...

– Hm, urwisy z was nie lada,
lecz się znajdzie może rada;
ja zawracać się nie mogę,
bo w daleką lecę drogę,
lecz te muszki, moje służki,
zaprowadzą was do Wróżki.
Gdy skrobniecie dwakroć w bramę,
drzwi otworzą się wam same.
W sad możecie wejść bezpiecznie,
byle cicho, byle grzecznie.
Wróżka nigdy nie odmawia,
jeśli gość się grzecznie sprawia.
Więc wam przykazuję srodze,
nic nie wolno tknąć po drodze!
Niech się nawet wam nie przyśni,
skubnąć choćby jednej wiśni,
fig, daktyli albo gruszki,
bo straciecie łaskę Wróżki.
Pamiętajcie, gawronięta:

Cudza własność to rzecz święta!
Kto w łakomstwie nie zna miary,
nie uniknie srogiej kary.

Adieu, smyki! Dzioby w górę! –
I kruk wzbił się popod chmurę.

Klasną w skrzydła dwa gawronki:
– Będziem znowu mieć ogonki!
Chwilkę pościć, toć to fraszka!
dla mądrego gawronaszka! –

I już dziobkiem w dziobek kuja
i uciesznie podskakują.

Środa, niemniej od nich rada,
wszystkie dzieci w kupkę zgania;
co słyszała, opowiada,
i by w drogę szły, nakłania.

– Gdy dwa razy skrobnem w bramę,
drzwi otworzą się nam same;
przez tę bramę w sad wejdziemy,
Wróżce dziury pokażemy.

Ona tak je ślicznie złata,
że nie pozna nic nasz tata.
Tylko niech się wam nie przyśni
skubnąć choćby jednej wiśni,
bo kruk mówił: „Gawronięta!
Cudza własność to rzecz święta!
To wam nakazuję srodze,
nic nie wolno tknąć po drodze!”

ROZDZIAŁ IV

Jaką drogą dzieci pana majstra dostały się do ogrodu Wróżki

Poprzez pola, poprzez łąki,
zapatrzone w złote muszki,
biegną rażno dwa gawronki
wyciągając cienkie nóżki.

A na ziemi troszkę dalej,
depcąc kwiaty, depcąc zioła,
banda pana majstra wali,
roześmiana i wesoła.

Błyszczą oczka, płoną uszka,
radość z każdej tryska twarzy.
– Jak też przyjmie nas ta Wróżka?
Czym ugości? Czym obdarzy?

Na wyścigi wszystkie prawia,
jakie to tam będą czary,
jak ubranka się naprawia,
jak unikną w domu kary...

Chmurna tylko czegoś Butka –
a gdy proszą, by szła prędzej,
trząść zaczyna się jej bródka:
– Nie chciam iść do Baby Jędzy!

U niej domek jest z pielnika,
z domku baba zła wyleci
i dźwi na kłuc poziamyka
i pozjada wszystkie dzieci!

– Ha! ha! ha! To bajki przecie,
nic się nie bój, tchórze mały!
Bab Jędz nie ma na tym świecie! –
chórem dzieci się zaśmiały.

Znów o Wróżce gadu, gadu...
– Gdybyż raz już trafić do niej!
– Toć my przecież bez obiadu! –
Pędzą, aż im w uszach dzwoni.

Wtem gromadka krzyknie: – Co to?
I z podziwu staje drżąca;
to mur szklany z bramą złotą
lśni jak klejnot w blaskach słońca.

Alabastry i kryształy
wonných kwiatów sploty wieńczą;
ponad nimi sad wspaniały
w słońcu gra kolorów tęczę.

Niżej ogród jak mozaika
barw tysiącem się rozkwieci.
„Czy to prawda? Czy to bajka?” –
zapatrzona myślą dzieci.

Ścichły śmiechy i igraszki –
dzieciom drżą z wzruszenia nóżki;
dziób otwarły gawronaszki:
– Jakże cudnie jest u Wróżki!

Trącą chłopcy się po cichu,
każdy naprzód iść się wzdraga;
w czarodziejskim tym przepychu
prysła naraz ich odwaga.

(Bo ichmoście oczywiście
przypomnieli sobie liście).

Więc dumają zuchy cztery,
że gdy wejdą jak Cyganie
z podartymi hajdawery,
kto wie, co się z nimi stanie?

Środa prosi, ręce składa,
przypomina słowa kruka.
Oni swoje: – Nie wy-pa-da!
Niech kto inny szczęścia szuka.

Gdy tak szepcą, gdy tak radzą,
w kropkę ozwie się Sobótka:
– Niech nas wlonki ziaplrowadzą,
chciem do kwiatków i oglódka!

– Dobrze – rzekną chłopcy cicho –
niech gawronki idą w przedzie;

nuż bram strzeże jakie lichy?
Patrzmy, jak się im powiedzie...

Ptaszki wcale się nie bały
dziwów, czarów ni złych mocy
(za to chętnie unikały
chłopców, co strzelają z procy).

Więc zerk! oczkiem w lewo, w prawo,
a ujrzawszy, że są same,
hyc, hyc, hyc! na nóżkach żwawo,
i skrob, skrob! pazurkiem w bramę.

Bums! rozwarły się podwoje,
odskoczyły na bok dzieci.
Beknął Piątek: – Ja się boję! –
A Sobótka naprzód leci.

Nim kto pojął, co się dzieje,
– Idem do tej Baby Jędzi! –
Tak dziecina się zaśmieje
i jak kulka w ogród pędzi.

– Stój! Stój! – krzykną dzieci ostro.
Błysła w słońcu plama złota,
bums! i za malutką siostrą
już się zwarły wielkie wrota.

– Czekaj! Puszczaj! Wielki panie! –
Dzieci nagły strach opęta.
Nuż Sobótce się co stanie?
A tu brama zatrzaśnięta!

Hurmem rzuci się dzieciarnia,
szturm przypuszcza jeden, drugi,
chłopców taki szal ogarnia,
że z nich potu płyną strugi.

(Trzeba przyznać, że gromada
bardzo swoją Butkę kocha).
Ale próżno krzyczy: – Zdrada! –
Próżno Środa głośno szlocha,

Próżno każdy kopie, stuka,
z gniewu, żalu i urazy –
zapomnieli zlecen kruka,
żeby skrobnąć w drzwi dwa razy!

Gruz, kamienie gradem lecą,
razy biją coraz gęściej;

z krzykiem: „Poddaj się, forteco!”
wałą, aż im puchną pieścić.

A zuchwała brama złota
jak świeciła, świeci w słońcu...
Odejść z niczym? Toć sromota!
Jednak... atak słabnie w końcu.

– Niech ją tysiąc kaczek kopnie! –
zagrzmie wreszcie Poniedziałek. –
Górą przeleźć najroztropniej! –
I pod mur już biegnie śmiałek.

Lecz tu nowa czeka bieda:
po szkłe wchodzić rzecz niełatwa,
tak się nie da i tak nie da.
„Co m zrobić?” – myśli dziatwa.

Na dobitek tam, na górze,
z ślicznych kwiatów barwy zorzy,
na przejrzystym jak szkło murze
taki napis się utworzy:

*Kto uczciwy –
bramą wchodzi;
przez mur
wchodzi
jeno złodziej!*

Środa czuje nagłą trwozę.
– Chłopcy! – głośno się odzywa. –
Przez mur przejść wam nie pomogę,
to jest droga nieuczciwa!

– Proszę! Co mi za pogróżka! –
Wtorek jej odburknie w złości. –
To niech mądra jejmość Wróżka
bramą wpuszcza swoich gości!

Środa swoje, chłopcy swoje,
gdy wtem Piątek cienko piśnie:
– Ajajajaj! Dzieci moje!
Ajajajaj! Tam są wiśnie!

Prawda! Wisien strumień cały
przez mur ku nim się przelewa;
i myśl rodzi w dziatwie małej,
jak by dostać się do drzewa?

Tak im pilno napaść brzuszki,
że już żadne nie pamięta,
że Sobótka jest u Wrózki
i że „cudza własność święta!”

Gdy się troszkę Środa waha,
Poniedziałek huknie z góry:
– Kto ma boja, kto ma stracha,
niech do kreciej wlezie dziury!

Chłopcy! Zrobić mi drabinę!
Za mną! Śmiało! Na okopy!
Co tam zważać na dziewczynę!
Hura, naprzód! Za mną, chłopcy!

Raz, dwa, trzy! i – jest drabina!
Patrzcie, młodsi dwaj na spodzie,
a po Czwartku się wospina
ich wódz, jak najęzszy złodziej.

Już dosięgnąć ma krawędzi,
już, już, już wyciąga palce...
Wtem pcich! Wtorka nos zaswędzi
i – na ziemi wszystkie malce!

Gdy dźwignęły się junaki,
ten miał do krwi zdarty łokieć,
tamten guza, ten siniaki,
temu zadarł się paznokieć...

Widząc, że są płaczu bliscy,
dobra Środa rzeknie żywo:
– Jeszcze raz się pnijmy wszyscy;
to za trudno być uczciwą!

Lecz przysięga sobie w duszy,
że usłucha przestrogi kruka
i w ogrodzie nic nie ruszy,
aż siostrzyczkę swą odszuka.

W mig stanęła nowa wieża,
z Środą sprawa poszła głądziej,
bo w niespełna pół pacierza
działwa majstra już jest w sadzie.

ROZDZIAŁ V

Jakie dziwne spotkanie Sobótka w zaklęwanym ogrodzie i co z tego wynikło

A tymczasem mała Butka
nie czekając starszych dzieci,
jak kłębuszek okrągłutka,
za Wronkami w ogród leci.

Próżno jednak woła bobo:
– Pocekajcie, gawlonaski,
macie Butkę wziąć ze sobą! –
Już jej z oczu znikły ptaszki.
Nie ma wronek? Mniejsza o to!
Butka śmiało kroczy dalej,
w słońcu świeci główką złotą
i tak sama siebie chwali:

– Mówili chłopcy,
zie się palobcy,
a zie dziewczęta
źmokłe kulczęta.

Tymczasem chłopcy
zia blamą stoją,
siami nie wiedzą,
cego się boją.

A mała Butka
bać się nie będzie,
gdzie tylko ziechce,
pobiegnie wsędzie.

Butka jest mała,
chłopcy są duże,
Butka odwazna,
a chłopcy tchórze!

Tu się Butka w głos zaśmieje,
rączką ujmie się pod boczki
i tak idzie przez aleje
wytrzeszczając krągłe oczki.

Co tu cudów! Co tu blasku!
Przez gąszcz liści hen, z wysoka,
słońce igra, w złotym piasku
znacząc jasne, świetlne oka.

Tyle kwiatów, trawki tyle!
Brzęczą pszczołki, buczą muszki,
rojem kręcą się motyle
jak stubarwne, lekkie duszki.

Pachną fiołki, lilie, bratki,
nóżką świerszcz o skrzydło bzyka;
a tu w róży wonnej płatki
bąk włochaty pyszczuś wtyka.

Zachwycona, uśmiechnięta,
wkoło kwiatów Butka drepce,
założyła w tył rączęta
i do samej siebie szepce:

– Śliczne te kwiatki!
Aż Butkę kusi,
zieby ich ulwać
i dać mamusi.

Ale kluk mówił,
Butka pamięta,
zie cudza własność
to jest ziec święta!

Jakby Sobótka
kwiatek ulwała,
toby ją Jędza
w wołek złapała.

A u tej Jędzy
spicasta błoda,
zjadłaby Butkę,
a Butki szkoda!

Na uwagę tę malutkiej
z grządek, klombów i rabatki
szmerek rozległ się cichutki –
to parsknęły śmiechem kwiatki.

Aż dygocą lilie białe,
malwy, dzwonki, astry, maki:
– Cóż za śmieszne dzidzi małe?
I skąd ma rozumek taki?

Widzi Butka: coś się dzieje!
Skoro Butka główką ruszy,
żaden kwiatek się nie śmieje,
wszystkie stoją jak bez duszy.

Ale niech się zwróci boczkiem,
zaraz sąsiad na sąsiada
kiwa listkiem, mruga oczkiem,
coś mu szepce, coś mu gada.

Wszystko to zgniewało Butkę:
– Zie mnie śmieją się nićponie!
Ale Butka się w minutkę
dowie, co śwalgocą o niej!

Więc ziewnąwszy buzią całą,
na fartuszku główkę składa.
– Stłaśnie mi się spać zachciało –
głośno kwiatkom zapowiada.

(Lecz naprawdę sprytnie dzidzi
wszystko słyszy, wszystko widzi).

Cisza... Butkę słonko praży,
muszek nad nią lata chmara...
Wtem... zadzwoni przy jej twarzy
głosik, niby brzęk komara.

Przez zmrużone rzęsy powiek
widzi – kwiat się ku niej schyla.
– Cyt!... Już zasnął młody człowiek –
szepnął śliczny dzwonek lila.

– Hi! hi! – kwiatki się zaśmiały. –
To nie żaden człowiek przecie;
to dziewczynka, bobuś mały:
milusieńkie ludzkie dziecię!

– Jakież dobre to maleństwo,
że nam życia nie zabrało –
i czuprynki swojej gęstwą
gwoździk musnął ją nieśmiało.

– Nuż dziecinie tej się uda
odczarować nas na chwilę?
Wciąż stać w miejscu taka nuda! –
żółte ozwą się żonkile.

– Bał wydałaby wspaniały
nasza śliczna pani Wróżka,
tożbyście się wyhulały! –
storczyk malwom rzekł do uszka.

Na to lament się podniesie,
pisną kwiatki w nagłym żalu:
– Tak, nam strasznie tańczyć chce się!
Balu! balu! balu! balu!

Widowisko to nie lada...
Co też jeszcze będzie dalej?
A wtem łusy mak zagada:
– Pannom zawsze w głowie bale!

I kiwnąwszy ciężką głową
dodał: – Siedźcie lepiej w grzędzie,
bo wam na to dam słowo –
chleba z mąki tej nie będzie!

Gdy się dzieciak w sad dostanie,
już go m nie ujrzym więcej;
bo łakomstwo, moje panie,
to największy wróg dziecięcy!

Skoro jabłek, śliwek, gruszek
do jej rąk się schyli tysiąc –
mała napcha nimi brzuszek.
To wam, panny, mogę przysiąc!

Ledwie skończył, spod fartuszka
krzyknie Butka: – A ty, dziadzie!
Wala ci od mego brzuszka!
Butka nic nie lusy w sadzie!

Jak mi jesce piśnies słówko,
to cię zalaz, stary błaśnie,
Butka wylwie i makówką
z całej siły o ziem plaśnie!

Zmilkły kwiatki przerażone,
drżą do głębi swych serduszek;
szczęściem Butka w inną stronę
drepce, gniewnie mnąc fartuszek.

Płonie buźka jej z koralu,
wreszcie marszcząc brewki, rzeknie:
– Jak zobacy mnie na balu,
to ten mak ze złości pęknie!

Idzie – uszła kroków parę,
raptem słyszy: wronki kraczą;
siedzą jak dwie grudki szare,
piórka stroszą i w głos płaczą.

Gdy nadbiegła zadyszana,
gawronaszki piśły cienko:
– Ach, panienko ukochana,
zasłoń śleпки nam sukienką!

Wróżka tak już niedaleko,
pałac widny jak na dłoni,
a nam w dzioby łezki cieką,
bo doń sad przystępu broni.

A w nim pokus różnych tyle!
Pełno wisien, winogronków;
przejść przez sad o własnej sile
to nie w mocy jest gawronków!

Tyś, panienko, większa, starsza,
poradź, ulżyj naszej męce,
nam tak brzuszki grają marsza! –
Tu ją z płaczem dziobły w ręce.

– Dobrze – rzeknie im Sobótka –
školo tak plosicie grzecnie,
to was złego nic nie spotka,
z Butką będzie wam bezpiecznie.

Jak pokaza się pokusy,
Butka się nie złęknie wcale,
tylko im wytalga usy
i pobiegnie pędko dalej!

I ogromnie ucieszona
bierze wronki popod paszki.
– Ach, potężna to persona! –
ze czcią szepczę gawronaszki.

I już idzie trójka cała –
z gawronkami Butka mała.

Przeszli szpaler i aleje,
a za nimi szemrzą drzewa:

– Co się dzieje? Co się dzieje?
Dziecku sad się przejść zachciewa!

Zawróć, zawróć, niebożatko,
bo cię woń owoców skusi;
kto skosztuje ich, dzieciatko,
pokutować długo musi!

– Silna wola wiele może –
głos od ziemi stęknął głuchy. –
Idź do Wróżki, idź, nieboże,
proś, niech zdejmie czar z ropuchy!

– Nie da rady! rady! rady!
Jak my, wpadnie do pułapki
w sadzie zdrady! zdrady! zdrady! –
zaskrzeczały w trawie żabki.

Tak, zaklęte dłonią Wróżki,
z cicha się skarżyły duszki,
lecz tłusciutkiej Butki naszej
nic nie dziwi, nic nie straszy.

Drep, drep, wchodzą nóżki śmiałe
w ścieżkę krętą i waziutką,
aż tu pisną wronki małe:
– Już sad pachnie! Ratuj, Butko!

I spłoszone dwa gawronki
myk! dwa łebki w dwie kieszonki.

Patrzy Butka – nie ma sadu,
jeno w gąszczu tym, na końcu,
w gęstych liściach winogrodu
coś jak gwiazdka błyszczy w słońcu.

Biegnie Butka: płotek złoty,
w płotku świecą srebrne drzwiczki;
klamka – brylant, cud roboty!
w niej się słońca skrzą promyczki.

A nuż sparzy? Butka dmucha,
potem rączkę na niej kładzie,
klucz przekręca, z miną zucha
drzwi popycha i – jest w sadzie!

Nagła jasność ją załala,
nieruchomo chwilkę stoi,
cudów, które tam ujrzała,
żadna główka nie wyroi!

W złotej zorzy się rumieni,
z migotliwych gwiazd utkany,
w róż girlandach i zieleni
pałac tęczę malowany.

Tysiąc iskier się w nim pali,
sto wieżyczek w niebo strzela –
wodotrysków pieśń się żali,
z komnat tęskna brzmi kapela.

Zasłuchała się dziecina
i z zdziwioną szepnie minką:
– Pewnie bał się już zacyna,
bo ktoś klęci katalynką...

I Sobótki grube nóżki
pędzą już przez złote dróżki,
lecz czar mocą swą zdradziecką
zatrzymuje w biegu dziecko
ukazując dziwy wszędzie,
jakie jeno baśń wyprzedzie...

Raptem rośnie w okrag Butki
ogród, jak dla liliputki.
W szmaragdowym puchu trawki
stoją drzewka jak zabawki.
Każdy krzaczek i drzewina
pod owocem się ugina.
Gdy owocki Butkę zoczą,
bums! z gałązek ku niej skoczą.
Tłumnie, jakby na wesele,
wonne toczą się morele,
kragłe jabłka, pulchne gruszki
prezentują kraśne brzuszki,
pomarańczki złota kula
do jej nóżki się przytula.
Wśród chichotek, krygów, śmieszków
płasa w słońcu garść orzeszków.
Tu brzoskwinia wdzięcznie dyga,
tam się pcha słodziutka figa;
tłum migdałów przed nią klęka,
wtem – trach! skórka na nich pęka
ukazując spod pieluszek
ziarnka ryte w kształt serduszek.
Kto tam jeszcze się nie ciśnie –
winogronka, śliwki, wiśnie...
ten ją muska, ta ją łechce.
– Może mnie panienka zechce?
– Skosztuj, skosztuj mnie, dziewczuszko,
jam wyborne jest jabłuszko!

– Niech panienka mu nie wierzy,
nie ma, jak ananas świeży.
– Niech panienka mnie posłucha,
jestem grucha jak poducha!
– Mnie pokosztuj, mnie panienko,
nie pogardzajże wisienką!

Cuda! cuda! dziwy! dziwy!
Sad jak z bajki, a prawdziwy.

Aż Sobótka oczka ciśnie,
czy ten cudny czar nie pryśnie?
Aż rumieni się dziecinka,
aż w głowince jej się kręci,
aż do ust jej płynie ślinka,
tak owoców woń ją nęci.
W upojeniu w rączki kłaśnie
i owocom tak powiada:
– Butka tak was kocha śtłaśnie,
że od lazcu was pożjada!

Na to jabłka, gruszki, figi
dalej piszczeć na wyścigi:
– Weź mnie, weź mnie, prędzej, nuże!
Nie namyślajże się dłużej!
– Mnie, mnie pierwszą!
– Mnie pierwszego!
– Mnie zjedz pierwej, a nie jego!

I Sobótka uśmiechnięta
już wyciąga swe rączęta,
gdy wtem wyrzą z jej kieszonki
przerazone dwa gawronki
i zakraczą: – Olaboga!
To pokusy, Butko droga!
Odpędź, odpędź je prędziutko
i do Wróżki goń, Sobótko!

Tam odrosną nam ogonki... –
I myk! znowu do kieszonki.

Co? Więc ogród ten śliczniutki
to nie dla niej, nie dla Butki?

Te prześliczne małe cacka
to jest podstęp, to zasadzka?

Butka rączką potrze czoło...
Nagle sobie przypomina,

co kwiatuśkom szeptał wkoło
mak, szkaradny dziadowina.

„Skoro jabłek, śliwek, gruszek
do jej rąk się schyli tysiąc,
mała napcha nimi brzusek,
to wam, panny, mogę przysiąc!”

Takie o niej robił plotki,
tak natrząsał się z Sobótki!

I, zgniewana tym ogromnie,
na owoce jak nie wrzaśnie:
– Chodźcie tylko bliżej do mnie,
to was Butka kijem tsaśnie!

Butka kijem was wypędzi,
idźcie sobie plec, pokusy!
Idźcie plec do Baby Jędzi!
Butka w sadzie nic nie lusy!

Drgnął diablików ludek mały,
lecz gdy wrzasła jeszcze głośniej,
gdy jej nóżki zatuptały –
czmychnął przed nią, gdzie pieprz
rośnie!

W mgnieniu oka z dziwów sadu
nie zostało ani śladu.

Słońce szczerym złotem prószy –
stoi Butka jak bez duszy...

Jak wpierw, zorzą się rumieni,
z migotliwych gwiazd utkany,
w róż girlandach i zieleni
pałac tęczę malowany.

Jak wpierw, fontann pieśń się żali,
sto wieżyczek w niebo strzela
a z błękitnej jakiejś dali
niewidzialna gra kapela.
Wszystko, wszystko jest, jak wprzódy!
Tylko zniknął cud nad cudy,
czarodziejski dziw nad dziwy,
sad jak z bajki – a prawdziwy!

Wtedy raptem czuje Butka,
że jest biedna i malutka,
że ją strasznie oszukali,

coś jej dali – i zabrali...
Że jej radość była zwodna,
że zmęczona jest i głodna,
że jej z oczą łezki cieką
i że dzieci są daleko.
Czuje, jak to źle być samej,
i że tęskno jej do mamy.

Próżno malcy dwa gawronie
skaczą wkoło jej osóbki
i serdecznie kraczą do niej,
rozdziawiając żółte dzióbki.

Butka tak jest nieszczęśliwa,
że wybuchnąć płaczem musi;
krzyk z jej piersi się wyrywa:
– Do mamusi! Do mamusi!

Gdy tak Izami bużkę rosi,
łkając coraz to żałośniej,
ktoś znad ziemi ją unosi,
ktoś przytula ją miłośnie.

Zapach kwiatów ją owiewa,
czyjś głos szepce, czyjś głos śpiewa;
– Cyt, dziecino, cyt, dziecino,
niechaj łezki już nie płyną...
No, uspokój się, stokrotko,
pokaż mi swą buzię słodką,
otwórz oczka, stań na nóżki,
spójrz – w pałacu jesteś Wróżki.

ROZDZIAŁ VI

Jak się bawiła Sobótka w kryształowym pałacu Wróżki

Dookoła zamku Wróżki
fantastyczne rosną drzewa,
po komnatach błędzą duszki,
ten przeciąga się, ten ziewa.

Przez makaty i zasłony
nie przenika nigdy słońce,
w mroku pałac pogrążony...
Siedzą duszki, zziębłe, drżące.

Co im dziwy! Co im cuda,
skoro ciemność pierś im tłoczy,
z wszystkich ścian wyziera nuda,
śpiączką wciąż zachodzą oczy.

Co im złoto i klejnoty,
co im skarby i dostatki,
kiedy serce mrze z tęsknoty
za pieczęcią ojca, matki.

Ach, bo wszystkie te ludziki:
ptaki, żaby, muchy, świerszcze,
to są małe pokutniki,
z których czar nie opadł jeszcze.

I czekają tak od wieka,
aż się dziwny cud przydarzy,
że zobaczą twarz człowieka,
co swobodą je obdarzy.

Wtem... szmer jakiś słyhać z dala.
Co się dzieje? Co się dzieje?
Pogrążona w cieniu sala
dziwnym światłem promienieje.

Zorzą płoną wszystkie ściany,
lśnią marmury i kryształy,
pałac jak odczarowany
brylantami skrzy się cały.

Czarodziejski blask przenika
w najciemniejszą głąb komnaty,
jakaś słodka gra muzyka,
szemrzą drzewa, pachną kwiaty.

Zapatrzone, zaszuchane
w tęczę światła, w czar muzyki –
noski cisną we drzwi szklane
małe duszki – pokutniki.

Rozwierają się podwoje
i cudowne, gorejące
przez krużganki i pokoje
promieniste wpada słońce.

W słońcu, mniejsza od mikroba,
krągła, biała i tłusciutka
jakaś toczy się osoba...
Patrzą duszki – to Sobótka!

Głośno tupią jej nóżęta,
w buzi gruby tkwi paluszek
i tak idzie uśmiechnięta
wypinając krągły brzuszek.

Za Sobótką w środek sali
para wronek śmiało wali.

Dalej w cudne strojna szaty,
jasna, cicha i powiewna,
wonejająca niby kwiaty
płynie Wróżka, Cud–Królewna.

A za nimi w słońca łunie
dwór królewski Wróżki sunie.
Idą ptaki, idą zaby,
krety, raki, myszy, kraby.
Postępując z głębi brzucha
wolno toczy się ropucha.
Ślimak cienkie stawia rogi,
śliną znacząc srebrne drogi.
Strojny w szatę swą godową
mak potrząsa łysą głową.
Popod łapkę z sową zmierza
kot o skrzydłach nietoperza.

Sunie także jeż kolczaty,
idą zioła, grzyby, kwiaty,
dziwadełka i karliki

podskakują w takt muzyki.
Sunie, sunie orszak Wróżki –
krasnoludki, widma, duszki.

Idzie śmieszny, barwny, żywy
świat jak z bajki – a prawdziwy.

W krąg komnaty siadłszy w cieniu,
patrzą duszki w środek sali,
kędy stoi na wzniesieniu
tron z pian morskich i koralu.

I z uciechy klaszczą w dłonie,
bo rozśmiana, okrągłutka
na złocistym siada tronie
rozczochna, mała Butka.

Ale raptem milkną dziwa,
cichną szepty i chichotki,
bo głos Wróżki się odzywa,
głos poważny, dźwięczny, słodki:

– Pokutników ludku mały!
Karły, gady i poczwary!
Spójrzcie na ten blask wspaniały!
On wam wieści koniec kary.
To maleńkie ludzkie bobo
blask słoneczny wniosło z sobą.

W moim szklanym pałacyku
było smutno, było ciemno;
łez wylaliście bez liku –
lecz płakaliście daremno!
Bo z was każdy w mym ogrodzie
był schwyty z piętnem: „Złodziej!”

A ksiąg świętych mówią prawa:
że kto cudzą własność ruszy,
tego dola będzie łzawa,
aż żal tryśnie z głębi duszy.

Lecz za sprawą tej dzieciny
odpuszczone wasze winy.

Choć kusiły ją owoce,
choć jej drogę zaszyły tłumem,
pokonała wszystkie moce
silną wolą i rozumem.

Jeszcze w fałdach swej kieszonki
ocaliła dwa gawronki.

Bohaterska ta dziecina
zasłużyła na nagrodę.
Szczęścia bije wam godzina!
Ona zwróci wam swobodę.

Lecz dla słodkiej mej dziewczuszki
będzie pierwszy bal u Wróżki!

Tyś, Sobótko, tu królową!
Co najśmielsza myśl wyprzedzić,
każdy rozkaz, każde słowo
wypełnione dzisiaj będzie.

Więc mów, czego ci potrzeba,
czego pragniesz najgoręcej?
Choćbyś gwiazdki chciała z nieba,
to ją złożę w twoje ręce.

Mów, najśłodsze me serduszko,
mów, dziecino złotowłosa... –
A Sobótka, bębniąc nóżką:
– Tseba Butce utseć nosa! –
Na ten rozkaz niespodziany
takim pałac gruchnął śmiechem,
że zadźwiękły wszystkie ściany
rozdzwonionym, długim echem.

W mig utarła Wróżka nosek
chustką, złotem haftowaną,
po czym zabrzmiał cienki głoszek:
– Chciem pielogów ze śmietaną!

W rękę Wróżki pierścień błyska
i ze szparki pod przypieckiem
wyskakuje wielka miska
i ustawia się przed dzieckiem.

Co za micha! Wielkie bogi!
Złękła się powiewna Wróżka,
ale Butka je pierogi,
aż się trzęsą małe uszka.

Dwa gawronki w rogach stołu
pałaszują z nią pospołu.

Gdy skończyła miskę całą,
wyskrobała łyżką do dna,

rzekła – Butce to za mało!
Butka jeszcze bardzo głodna!

W lot skoczyły wszystkie duszki,
straszydełka, kłapouszki
i kraśnięta, i chochliki,
dziwoludki i karliki.

Ten małej bohaterce
z marcepanu niesie serce,
tam dziwaczne, wielkie kraby
cukrowane toczą baby.

Jadą placki, makowniki,
przekładańce i serniki.

Ten z owoców koszem bieży,
ten pomadki sypie z dzieży.

Ci znów niosą konfiturki,
lody, torty i mazurki.

By nie mówić już obszerniej,
pałac zmienił się w cukiernię!
O czym jeno myśl zamarzy,
wszystkim Wróżka Butkę darzy.

A że nasza panna mała
uraczyła się obficie,
że wszystkiego skosztowała,
o tym chyba nie wątpicie.

Skaczą duszki wkoło Butki,
jak dogodzić jej, nie wiedzą.
I znów zabrzmiał rozkaz krótki:
– Telaz niech już stłachy jedzą!

Toż zaczęła się biesiada!
Pędzą duszki i karliki
i już każdy garścią zjada
przewyborne smakołyki.

Tętni cały pałac szklany
od wykrzyków i radości,
a nasz bobuś rozczochrany
wszystkich raczy, wszystkich gości.

Lecz maluchna ta osoba
raptem wzdycha z głębi brzuszka.

– Czy ci się co nie podoba? –
niespokojnie pyta Wróżka.

Ach, bo pragnie duszą całą,
by dzieciątko z nią zostało.

I spogląda w zachwyceniu
na tłusciutką, małą Butkę,
co przycupła sobie w cieniu
na rączynach wsparłszy bródkę.

A Sobótka tak jej prawi:
– Butce się już tloskę nudzi,
bo tu z Butką nikt nie bawi,
nie ma dzieci, nie ma ludzi...

I z swawolnym śmieszkiem doda:
– Jak tu psyjdą nase dzieci,
Wtolek, Cwaltek, Piątek, Śloda,
to twój pałac się lozleci.

U nas lepsza jest stodoła,
tam się można chować w sianie –
i mamusia wsystkich woła
na obiadek, na śniadanie.

W oknach pełno pelargonii,
losnom fuksje i milciki
i tak ślicnie na halmonii
glajom nase celadniki!

Bo mój tatuś jest pan majstel,
a ja jestem jego cólka.
I tak wszędzie pachnie klajstel
i tlociny siom, i wiólka!

Uśmiech zniknął z jej twarzyczki –
snadź do mamy i do tata
całą siłą swej duszyczki
z kryształowych sal ulata.

I pojęła dobra Wróżka
dziecięcego moc serduszka.

Przygarnęła ją do łona.
– Jeszcze tylko chwilkę krótką
zostań ze mną, ty spieszczona,
wdzięczna moja niezabudko.

Prędko przejdzie czar godziny
i porzucisz mnie, maleństwo,
i powrócisz do rodziny,
ujrzesz mamę i rodzeństwo.

Tu w przejrzyste klasła dłonie.
– Niech muzyka spłynie w salę,
niechaj tysiąc gwiazd zapłonie!
Bal zaczyna się nad bale!

Bije w zamku dzwon wesela,
dworska zbiega się kapela.

Niosą bębny i klarnety,
trąby, skrzypce, basy, flety.

W środku sali duszki–kwiaty
stroją Butkę w świetne szaty.

Przezroczysta z mgieł tkanina
drobną postać jej opina.
Do jej pleców dziwadelka
przyklejają dwa skrzydełka.

A na nóżki, miast trzewików,
ciżmy kładą z brylancików.
Krażek złoty na czub głowy –
i strój Butki już gotowy.

Wystąpiła na przód sali
i ozwała się w te słowa:
– Telaz niech mnie każdy chwali,
telaz Butka jest klólowa!

I zdumiała się nie lada,
gdy maczysko łyse, stare,
niski pokłon przed nią składa,
prosząc, by z nim poszła w parę.

Mak, co niby rósł na grzędzie,
a plotkował o niej wszędzie!

Tym zuchwalstwem urażona,
Butka rzekła dumnie, sucho:
– Idź plec, pałko wygolona!
Będzies tańczyć dziś z lopuchą!

I pan mak skonfundowany
iść z ropuchą musi w tany.

A Sobótka płąs zaczyna
z duszkiem krągłym niby gałka,
co troszeczkę przypomina
jej braciszka – Poniedziałka.

Raptem salę czar przenika –
to oberka rżnie muzyka.
Wszystkie duszki, wszystkie dziwa
czarodziejski ton przyzywa.

Tańczy ślimak z złotą muszką,
a pomidor tańczy z gruszką,
zgrabne żabki z świerszczykami
obejmują się łapkami.

Tańczą ptaki i zwierzęta,
skaczą śmiesznie gawronięta,
którym błyszczą się jaskrawie
śliczne dwa ogonki pawie.
Strój ten piękny, okazały
na dzisiejszy bal przybrały.

Tańczy z duszkiem mała Butka
roześmiana, różowiutka,
ciżemkami chlupie, tupce,
a jej tancerz tnie hołubce!

Aż Sobótka zawrót czuje,
tak tłuscioszek z nią wiruje.

Tańczy wdzięcznie ryba z rakiem,
a pietruszka z pasternakiem,
tańczy dudek z panią sową
i mak skacze z łysą głową.
A ropucha tak z nim płąsa,
aż mu ze łba mak wytrząsa!

Krąg zatacza brać zakłęta,
tańczą duszki i kraśnięta,
kwiaty, grzyby, widma, dziwa,
skacze nawet miotła krzywa!

Pałac mieni się jak w bańce,
płyną tony, płyną tańce,
lekkie szaty wiatr rozwiewa,
wszystko pachnie, wszystko śpiewa,
ściany krwawią się rubinem,
to fioletem, to bursztynem.

Grają skrzypce i piszczałki,
bębny, flety i cymbałki.

Tańczy, tańczy w krąg komnaty
rój stubarwny, rój skrzydlaty,
płaż zawodzi w światel tęczy,
a muzyka gra i dźwięczy.

Nad ogrodem, hen, na dworze
zachodzące płoną zorze.

ROZDZIAŁ VII

Jak się zachowali w ogrodzie Wróżki nieproszeni goście i jaka ich za to spotkała kara

Sad stał w myślach pogrążony,
strojny, bujny, rozłożysty,
kryjąc w liściach wyłożony
owoc – wonny i soczysty.

Słońcu niosąc dziękczynienie
sad zapada w słodką ciszę.
Trawę długie znaczą cienie,
żaden liść się nie kołysze.

Wtem... coś kłębi się nad murem
i w czarownej tej ustroni
coś zawrzało takim chórem,
że mi jeszcze w uszach dzwoni.
– Jakaż wrzasków tych przyczyna?–
Każdy mi pytanie zada.
A to w ogród jak lawina
pana majstra banda wpada.

Poniedziałek na ich czele
po indyjsku jak nie świśnie,
jak nie huknie: – Na morele!
Na brzoskwinie! Hej, na wiśnie!

Za starszego brata śladem
już zgłodniałe basałyki
pędzą naprzód zwartym stadem,
zbrojne w kije i patyki.

W mig na grusze, na jabłonie
pnie się chciwych malców rzesza;
ten pień chwycił w obie dłonie,
ten się u gałęzi wieszka.

Sińce? Guzy? Bagatela!
Skoro owoc gradem leci
i kobiercem się rozściela
pod żarłocznym wzrokiem dzieci!

Toż to radość! To wesele!
Ten pod drzewem milczkiem kuca,
w usta wielkie pcha morele,
a pestkami w dzieci rzuca.

Tamci dwoje popod murem
winogrona szarpią wonne,
co się wiją długim sznurem
ciężkie, słodkie i bezbronne.

Czwartek, pełen animuszu
(ten z łakomstwa zawsze słynie),
szuka ziarenek, niżej uszu
pogrążony w wielką dynię.

A najstarszy pan dobrodziej
taki rozmach w sobie czuje,
że co tylko jest w ogrodzie
zjada, łamie i tratuje.

Młodszy za nim drą się, piszcza,
choć wypchali już kieszenie,
jeszcze depcą, jeszcze niszczą,
jeszcze sięją spustoszenie!

W chwilę później – nie do wiary,
co uczynił ich szal dziki!
Jakby przeszły tu Tatary,
jakby przeszły rozbójniki!

Sad, co w skarbów swych ozdobie
stał pachnący, barwny, strojny,
teraz chyli się w żałobie,
jakby tknięty dłonią wojny.

Wszędzie szczyby, wszędzie rany,
tam prześwieca zdarta kora,
tu winograd podeptany,
tam się zwiesza gałąź chora.

W tym bezmyślnym spustoszeniu
tak się wszystko odmieniło,
że aż słońce w przerażeniu
chmurką sobie twarz zakryło.

A dzieciarnia objedzona,
ocierając czoło w pocie,
słodkim łupem objuczona,
myśli wreszcie o odwrocie.

Bo pan-brat im tak powiada:
– Gdy nas Wróżka tu zastanie,
to, choć sama się objada,
nam z pewnością sprawi lanie...

Uciec?... Hm, to sprawa łatwa,
droga przez mur przecież krótka,
lecz... – tu na się spojrzysz dziatwa –
gdzież podziąła się Sobótko?!

Radzi zatem zespół cały,
aż tu... hukły gdzieś wystrzały.

(To dla Butki-bohaterki
zapalono fajerwerki).

Wtorka lęk ogarnął srogi;
skoczył niby kamień z procy.
– Dzieci! Prędko za pas nogi!
Uciekajmy, co w nas mocy!

Lecz... czy naraz ich zakłęto?
Coś ich chwyta w splot gałęzi,
coś ich siłą niepojętą
skuwa, szarpie, trzyma, więzi.

Przez sad w blasków aureoli
Wróżka zbliża się powoli...

Idzie z twarzą oniemiałą,
łuna gniewu ją oblewa.
– Co się z moim sadem stało?
Moje biedne, drogie drzewa!

Na te słowa nieszczęśliwy
sad rozjęczał się boleśnie:
płaczą grusze, płaczą śliwy
i jabłonki, i czereśnie.

Aż wisienka smukła, tkliwa
umęczoną główkę kłoni
i cichutko się odzywa:
To sprawili, Wróżko, oni!

Za czym piękna Cud-Królewna
twarz obraca pałającą
i spostrzega groźna, gniewna,
winowajców bandę drżącą.

Nigdyż dla mnie przez minutę
gwiazda szczęścia nie zaświeci?
Życie będzie zawsze strute
przez swawolę chciwych dzieci?

I znów sad mój ukochany
będzie chory i kaleki,
niezgojone zawsze rany
krwawić będą całe wieki!

Ach, zgrzeszyliście nad miarę,
lecz wam znaną jest nauka:
„Kto przewini, weźmie karę.
Znajdzie guza, kto go szuka!”

Tu z pierścieniem wzniosła rękę.
– Za nikczemny wasz uczynek,
za drzew biednych srogą mękę
zmieniam was w gromadę świnek!

Patrzą dzieci w osłupieniu,
strach ubielił im twarzyczki.
Już z ich nóżek w okamgnieniu
świńskie robią się raciczki!

Gdzie ich ręce? Gdzie ich szyje?
Próżno łkają z głębi duszy:
zamiast nosów mają ryje,
z boków brzydkie kłapią uszy.

A przez dziury hajdawerków
głupio, śmiesznie i szyderczo,
pozwijane w kształt świderków,
ogoneczki świńskie sterczą!

Wróżka ku nim ręką skinie.
– Gdy sumienie się w was wzbudzi,
to i kary czar przeminie...
Idźcie teraz precz – do ludzi!

Zrozpaczone straszonym losem
chęć dziateczki dobyć krzyku
i wraz jękły świńskim głosem:
– Krum! krum! Kwiku! kwiku! kwiku!

Ledwie rozległ się w przestrzeni
przeraźliwy kwik prosiątek,
ktoś spomiędzy traw zieleni
w sadu wtacza się zakątek.

To prześlicznie ustrojona
kragła, biała i tłusciutka,
rojem duszków otoczona,
co tchu pędzi – mała Butka.

Już przebiegła sad dziewczynka
i złoconą pędzi dróżką,
krzyżąc: – Gdzieś tu kwicy świnka,
pokaz świnkę Butce, Włózko!

Usłyszawszy głos siostrzyczki,
już prosiątka całą zgrają
ryjki, uszy i raciczki
ku malutkiej wyciągają.

Butka wlepia w nie oczęta,
z rozdziawioną patrzy bużką,
aż zakrzyknie: – Te plosięta,
to siom nase dzieci, Włózko!

O, tu Cwałtek jest bęcwałek,
a tu Śloda jest milutka,
a tu duży Poniedziałek!
Wsystkich, wsystkich ma Sobótka!

I przed Wrózką przerażoną
już w ramionka świnki chwyta,
a prosiątek śmieszne grono
z kwikiem, piskiem Butkę wita.

Taka radość niepojęta
rozjaśniła malców twarze,
że już żadne nie pamięta
o przewinie i o karze.

A maleńka im szczebiota:
jak to była w ślicznej sali,
jak tam wszystko jest ze złota,
jak pierogów Butce dali...

– I jest taki tlon z kolalu,
i mak łysy był na gzędzie,
i ja byłam tam na balu,
i znów Butka tańczyć będzie!

I mnie Wlózka tak chwaliła
pseď wszystkim stlasyďłami,
zem nic w sadzie nie lusyła!
– kończy, plaszcząc rączętami.

Ledwie słowa te wyrzekła,
lament wkoło się podnosi;
dzieciom struga łez pociekła
i różowe pyszczki rosi.

(Tak łakomstwo swoje, zda się,
opłakują poniewczasie).

I tak wszystkie kwiczą rzewnie,
że to Butkę niepokoi –
więc się zwraca ku Królownie,
co milcząca przy niej stoi.

– Wlózko, powiedz mi w tej chwili,
cego oni wszystkie placą?
Cego ryjki w łapki sklyli
i na Butkę się nie patsą?

Na to Wrózka, smutna, blada,
na jej główce rękę kładzie
i ze smutkiem opowiada,
co robiły dzieci w sadzie.

– Kres położyć chcąc swawoli,
zamieniłam je w prosięta,
lecz jeżeli cię to boli,
to twa wola dla mnie święta.

Tyś, Sobótko, dziś królową,
pierścień w twoje ręce zdaję,
rzeknij tylko jedno słowo,
a co rzekniesz, niech się staje!

Tu na pulchną Butki rączkę
nałożyła swą obrączkę.

Patrzą świnki w Butkę chciwie –
ich zbawienie jest w jej ręku,
więc krumkają niecierpliwie,
ryjkiem kręcąc, pełne lęku.

Z mowy Wrózki Butka mała
tyle tylko zrozumiała,
że na każde jej żądanie,
co zapragnie, to się stanie.

Popatrzyła na świneczki –
ach, jak one kwiczą ślicznie,
jakie mają ogoneczki
i jak krzywią się komicznie!

I wraz cienkim głosem dzwoni,
z roześmianą krzycząc minką:
– Chciem być taka jak i oni!
Butka chce być także świnką!

Ledwie kończy tę myśl pustą,
już się zmienia w świnkę szóstą.

Próżno Wróżka zrozpaczona
ręce wzniosła w jej obronie –
Butka, w prosię zamieniona,
z kwikiem skacze już koło niej!

Bładość Wróżki twarz okryła,
bo uczuła z nagłym drzeniem,
że cudowna czarów siła
opuściła ją z pierścieniem.

Co to będzie?! Wielki Boże!
Wszak maleństwo to niewinne
tysiąc nieszczęść ściągnąć może
przez zachcenia swe dziecinne!

Cud–Królowna, płaczu bliska,
na pierścionek z trwogą patrzy
i w ramionach Butkę ściska,
coś jej szepce, coś tłumaczy,

i namówić chce koniecznie,
by wracała z nią do sali,
bo tam będzie jej bezpiecznie
wśród marmurów i koralu.

Wreszcie, zbladłe chyląc lica,
o pierścionek szeptem prosi;
ale mała swawolnica
tylko śmiechem się zanosi.

Obejrzała się ku bramie
i raciczką dzieci trąca.
– Butka chce to zanieść mamie,
chodźcie, bo już Butka śpiąca.

„Kwik!” – zawrzały wraz wisusy,
banda o nic się nie pyta,
w ogród żwawe daje susy
i do domu rwie z kopyta!

Zrozumiawszy, co się święci,
„Kra! kra!” – piły dwa gawronki
i za Butką bez pamięci
gnają, wznosząc swe ogonki.

Nim się Wróżka obejrzała,
nim pojęła, co się stało,
już z pierścionkiem Butka mała
znikła w bramie z bandą całą.

ROZDZIAŁ VIII

W którym strapiona Wróżka ożywia czarnoksiężskie zwierciadło

W szklanym zamku na makatach
smuga kładzie się księżycy.
W czarodziejskich, zwiewnych szatach
leży Wróżka bladolica.

Wzdłuż jej ramion złotą falą
spływa włos diademem spięty;
nigdzie światła się nie palą,
w mroku pałac legł zaklęty.

A dokoła świetnej sali,
pozwijani jak kłębuszki,
śpią mieszkańcy zamku mali,
dziwoludki, karły, duszki.

Cisza wkoło... blask miesiąca
srebrem spływa przez sklepienie,
duma Wróżka bolejąca,
w fantastyczne patrząc cienie.

Wtem coś drgnęło u kotary,
błyśły złotej frędzli skręty
i ukazał się kruk stary,
kruk z oczami jak diamenty.

Krągłym ślepiem powiódł wkoło
i w łeb czarny się zastuka.
„Czegoś tutaj niewesoło...
Nie oszukać imci kruka!”

Do Królowny podszedł żywo,
ukłon złożył jej misterny
i z powagą wyrzekł tkliwą:
– Oto jest twój sługa wierny.

Tu popatrzył w twarz jej białą
i zapytał: – Co się stało?

Wróżka smutnie uśmiechnięta
wysunęła dłoń z koronek.
– Prysła moja moc zaklęta;
utraciłam mój pierścionek.

– Kra! kra! – padło w zamku ciszę. –
Cud–Królewno, co ja słyszę?

– Cyt, cyt, bo nas kto podsłucha
–szepnie Wróżka, kryjąc lice.
–Drogi kruk, nachyl ucha,
zwierzę ci mą tajemnicę.

W mrocznej sali pani blada
sploty włosów mnąc z rozpaczy,
coś krukowi szeptem gada,
a kruk słucha, a kruk patrzy.

Gdy mu barwnie nakreśliła,
jak Sobótka dwa gawronki
przez jej sad przeprowadziła
skryte w fałdach swej kieszonki...

I jak z Butką ptaszki kuse
odegnały precz pokusę...

Kruk odsapnął ze wzruszenia,
po czym modą staroświecką
w łeb się skrobnął od niechcenia
i rzekł: – Mądre, mąd–r–r–re dziecko!

A gdy dwaj figlarze mali,
dziób otarłszy ze śmietany,
w pawie stroje się przebrali
i wesołe wszczęli tany –

kruk roześmiał się z uciechą,
aż dźwięknęło w sali echo:

– Kra! kra! A to sprytne sztuki!
Mądre jak prawdziwe kruki!
Toż to matka dziób rozdziawi,
gdy zobaczy strój ich pawi!

I skrzydłami zaszeleści,
i znów słucha opowieści.

To pochyla swój łeb kruczy,
to z podziwu wzrok wylupia,

to podgardle gładząc, mruczy:
– Hm... ta Butka też nieglupia...

Lecz gdy Wróżka w trwożnej męce
jękła, łamiąc białe ręce,
że najmilsze jej dzieciątko
zamieniło się w prosiątko,
że pierścionek jej porwało
i z rodzeństwem w dal pognało,
i że biedne to maleństwo
może wpaść w niebezpieczeństwo,
bo magicznych potęg siły
nie rozumie dzidzius miły...

Kruk poderwał się na nogi.
– Cud–Królewno, zbądź się trwogi!
Kruk ma łeb nie od parady,
zaraz leci na wywiady
i kpem byłby, gdyby wkrótce
nie miał wieści o Sobótce.
Niech się pani ma nie smuci.
Kruk z pierścionkiem w lot powróci.

Cześć ci składa sługa wierny!

Błysnął frędzli splot misterny,
drgnęły fałdy u kotary
i jak widmo znikł kruk stary.

Słucha Wróżka w szklanej sali,
jak szum skrzydeł cichnie w dali.
I tak marzy drżąca, trwożna:
– Gdybyż tak zobaczyć można,
gdzie jest moja niezabudka,
okrągłutka, mała Butka!

Gdybyż ujrzeć choć z daleka,
co maleńką w domu czeka!
Czy co dziecku się nie stanie,
gdy ją ujrzą w tej przemianie?
I co powie dzidzia słodka,
jeśli mego kruka spotka?

Gdy tak stoi, cisnąc czoło,
i o los Sobótki pyta,
nagle, jasne, świetlne koło
u jej drobnych stóp wykwita.

Księżyc swoją tarczą zbladła
w kragłe zajrzał przezieradło.

(W dawnych czasach takie miano
nader trafnie lustrum dano).

Pamięć jakiejś tajemnicy
twarz rozjaśnia Cud–Dziewicy.

Przyciskając dłonią serce,
cicha, lekka jak widziadło,
sunie z wolna przez kobierce
i zdejmuje z ścian zwierciadło.

Jeśli pamięć jej nie myli,
w lustrze owym w każdej chwili,
ujrzeć może, co się plecie
na dalekim, ludzkim świecie.

Byle zbudzić moc zaklętą
na pieczęci siedm zamkniętą!

Bije serce Cud–Dziewicy,
w lustrze topi błysk źrenicy.

Włosów wonnych aureola
jej precudną twarz okola.

W czarnoksiężskich zmaganiach walce
prężą się jej zwinne palce...

Kreślą dziwne jakieś znaki:
koła, węże i zygzaki.

Rozchylone krwawe wargi
szepcą groźby, szepcą skargi.

Szemrzą wciąż tą samą nutką:
– Mów, co dzieje się z Sobótką!

Owe prośby i rozkazy
Wróżka siedm wyrzekła razy.

I zbudziła moc zaklętą,
na pieczęci siedm zamkniętą!

Ze zwierciadła tafli szklistej
trysnął iskier snop ognisty.

Lustro głośno zachrapało
i wyrzekło z miną gniewną:
– Cóż się tam, u licha, stało?
Czego budzisz mnie, Królewno?

– Przez czarodziejstw moc zwycięską,
moc magiczną, czarnoksięską,
rozkazuję tobie krótko:
mów, co dzieje się z Sobótką!

Czeka chwilę Cud–Dziewica;
w lustrze tworzy się mgławica.

Lustro sapie, mruży, stęka,
a wtem pieczęć siódma pęka
i na czystym szkle bez skazy
ukazują się obrazy.

Mkną po tafli zwierciadlanej
barw tysiącem malowanej.
Jakby w bajce, jakby w kinie
wszystko widać w tej godzinie.

A co więcej... w nocnej ciszy
Cud–Królowna głosy słyszy.

Z lustra głosy płyną do niej,
jak w najlepszym gramofonie.

Wszystko, wszystko, co się plecie
na dalekim, ludzkim świecie –
wszystko, co by wiedzieć chciała,
widzi, słyszy Wróżka biała.

Płynie księżyc coraz bladszy,
Cud–Królowna w lustro patrzy.

ROZDZIAŁ IX

Co zobaczyła Wróżka w czarnoksię- skim zwierciadle

W domku majstra u przedmieści,
co się bieli hen daleko,
słysząc głośny płacz niewieści –
to z majstrowej ócz łzy cieką.

Choć spóźniona już godzina,
nikt nie zasiadł do wieczerzy;
płacze matka u komina,
krając chleba bochen świeży.

Jeśli jeszcze i noc zleci
i nie wrócą się do domu
jej najmilsze, słodkie dzieci,
komu chleb ten odda? Komu?

Bochen wypadł z drżącej dłoni,
twarz ukrywszy w brzeg fartucha,
matka łzy bolesne roni
i znów czeka, i znów słucha...

Od południa czeladnicy,
mąż i sąsiad jaki taki
wciąż szukają w okolicy,
czy nie trafią na ślad jaki?

Aż pan majster, strapion srodze,
poszedł szukać drogich dzieci
do gospody – co przy drodze
wielkich liter złotem świeci.

*Tu jest wiszynk pot ko Gutkiem,
gdzie spzędają Piw o Zwódkiem.*

Ojcu snuło się po głowie,
że się tam o dzieciach dowie,
za czym w kącie zasiadł ciszkiem,
trąbiąc kielich za kieliszkiem.

I tak martwił się głęboko:
„Furdum, burdum, mocium panie!”
Aż mgłą zaszło jego oko
i – rozległo się chrapanie.

Gdy tak w zgiełku i hałasie
majster Tydzień śpi aż miło,
spójrzmy z Wróżką, co w tym czasie
w domu jego się zdarzyło.

W ciągłej pracy, w ciągłym ruchu
drepce zacna Imć Niedziela.
Teraz piernat niesie z puchu
i na łóżku go rozściela.

Aż jęknęła: – Dobry Boże!
I Ty, Matko, Mario święta!
Daj, niech się już tak nie trwożę,
niech się znajdą me pisklęta!

To błagalnie wznosi dłonie.
– O Antoni z Padwy święty!
Ty niebieski nasz Patronie!
Spraw w Twej łasce niepojętej,

niech odnajdę moją zgubę!
Niech się wróćą dziatki lube,
a ja ku Twej wiecznej chwale
biednym oddam me korale!

I nie mogąc przyrzec więcej,
chwytą w dłonie piernat z pierza
i w bolesnej serca męce
puch pobija w takt pacierza.

(I tu, widno jak na dłoni,
Święty pomógł jej Antoni).

Bo wtem... Co to? Wielki Boże!
Słysząc jakiś kwik u bramy!
I znajomy głos na dworze
pisnął cienko: – Chciem do mamy!

Butka? Dzieci? Matka blednie,
takie szczęście nią owładło,
że z radości swej bezwiednie
biegnie, ciągnąc – prześcieradło!

Wtem trzasnęły drzwi z łoskotem
i przed drżącą z szczęścia matką

zakurzone, złane potem
staje... kragłych prosiat stadko.

Panno święta! O anieli!
A dziateczki zgodną gamą
jak nie kwikną ku Niedzieli:
– Krum! krum! Mamo! mammo! mammo!

A prosiatko z minką Butki
już za szyję matkę dusi,
ryjek tuli okrągłutki
piszcząc: – Butka u mamusi!

Drgnęło serce dobrej matki,
już nie patrzy, już nie pyta
ani dociec chce zagadki,
tylko ściska, tylko wita.

Tylko tuli upojona
świńskie ryjki, świńskie łebki
i powtarza ich imiona,
i całuje w ryjki, w ślepki...

Twarz jej liże sześć ozorków,
słysząc piski, słysząc śmiechy,
a ogonki u rozporków
kręcą młyńca w znak uciechy!

Przygarnawszy wszystkie społem,
niby kokosz swe pisklęta,
matka sadza je za stołem,
błogim szczęściem wskroś przejęta.

Toż kwik rozległ się w izdebce,
gdy im wniosła z kaszą mleka!
Dziatwa krząka, mlaska, chłopce,
aż jej płyn po ryjku ścieka.

I majstrowa sama nie wie,
gdy tak tłoczą się przy misie,
czy w pokoju jest, czy w chlewie?
Czy jej wszystko tylko śni się?

Wtem głos Butki się podniesie
(małą pchają wciąż do ściany):
– Pseciez Butce tez jeść chce się,
dosyc macie juz, gałgany!

Matka oczom swym nie wierzy,
bo prosiatka w tej minutce

odskakują od wieczerzy,
robiąc miejsce małej Butce.

A Sobótka, niczym dama,
łebkiem kiwa im łaskawie.
– Jak się dobrze najem sama,
to tloseckę wam ziostawię.

Chodźcie z Butką papać, ptaski!
Chodźcie pędko, gawlonaski!

Na to z kąta popod ławą
para ptasząt kształtu kruka
wyskakuje na stół żwawo
i dziobami w miskę stuka.

To naprawdę nie do wiary!
Ze zdumieniem matka patrzy.
– Czy to sen jest? Czy to czary?
Mówcie dzieci, co to znaczy?

Na to dziatwa wszczyna kłótnię,
wszystkie drą się, krzyczą naraz
i tak plotą bałamutnie,
taki robią zgiełk i hałas,

że majstrowa nic nie słyszy,
jakby tartak miała w głowie,
aż znów Butka ich uciszy:
– Niech najlepiej Śloda powie!

Cud naprawdę, co się dzieje:
na głos małej wieprzków stadko
ryjki zwiera i... niemieje!
patrząc w Butkę z miną rzadką.

Tylko świnka z noskiem Środy
na kolanach matki siada
i niezwykle ich przygody
Imć Niedzieli opowiada.

Jak gawronki dwa spotkali,
którym obdarł kot ogonki,
jak ubranka potargali
i do Wróżki szli przez łąki,
jak za wielką złotą bramą
zostawili Butkę samą
i tak się o Butkę bali,
że przez mur się w sad dostali

i owoców widząc tyle,
przystanęli tam na chwilę...

Tu wstyd zdławił małą świnkę
i jękając się, powiada:

– Gdyśmy zjedli odrobinę,
przyszła jakaś pani blada
i... i strasznie się złościła
i... i w świnki nas zmieniała...

Raptem Butka sprawiedliwa
potok słów przerywa Środzie:
– To jest plawda nieplawdziwa,
tak nie było w tym oglodzie!

Oni ładny bal żlobili,
wszystko żjedli, polamali,
takie, mamó, głube byli,
bo tak śtłaśnie się napchali.
Włózka baldzo się maltwila,
dobrze ze ich nie wybila,
bo mnie nić nie ziostawili,
tylko wszystko poniscyli!

Próżno dziatwa Butkę straszy,
chce jej przerwać, kwiczy, tupie
Butka z ryjkiem pełnym kaszy
kończy: – Oni baldzo glupie!

I z pogardą dzieci zmierzy...
Na to banda w bek uderzy.

Płacze gorzko i majstrowa...
Jezu Chryste, co się dzieje?
Na toż ona dzieci chowa,
by wyrosły z nich złodzieje?

I swawolą ich przejęta,
rzekła do nich we łzach cała:
– Cudza własność to rzecz święta,
słuszna kara was spotkała.

Ach, mówiłam nieraz, dziatki,
kto nie słucha ojca, matki,
ten psiej skóry słuchać musi,
bo go diabeł zawsze skusi.

Ot i przyszła kara boska,
teraz kształty prosiąt macie –

i tu nagle się zatroska:
– Jak ja was pokażę tacie?

Wzmógł się na to płacz dziatczek:
szłocha matka z twarzą zbladła,
a że wszystkim brak chusteczek,
więc łzy leją – w prześcieradło.

Potem chciała Środa dalej
opowiedzieć o pierścieniu,
lecz nie dało się to wcale –
bo po ciężkim odetchnieniu
małe lichy, mrużąc oczy,
rzekło: – Telaz Butka syta,
niech już Środa nie tłajkocy,
Butka będzie spać, i kwita!

A sio! Dość już macie kaski,
idźcie na piec, gawlonaski!

Ledwo rzekła to dziecina,
Środa zdanie w pół ucina,
a na piecu dwa gawronki
roztaczają swe ogonki.

Próżno matka prosi, pyta,
bractwo stoi oniemiałe,
a Sobótka jak zabita
śpi – zwiesiwszy uszka małe.

Lęk ogarnął imć majstrową,
skłopotaną chyli głowę,
i zgarnąwszy stadko razem
przed ołtarzyk z dziećmi zmierza,
by jak co dzień przed obrazem
klęknąć z nimi do pacierza.
I drży z trwogi, czy zła siła
serc jej piskląt nie zmieniła?

Lecz po chwili, z ulgą widzi
(choć ich łkanie rwie jej duszę),
że się dziatwa psot swych wstydzi,
że uklękła w wielkiej skrusze

i że w myśli litanijki
szepce, we łzach kąpiąc ryjki.

Więc dodaje malcom ducha:
– Kto zamyśla o poprawie,

tego pewnie Bóg wysłucha
i przebaczy mu łaskawie.

Może wam i karę skróci –
śpijcie, drogie niebożęta!
Może tatko dziś nie wróci...
Wejrzyj na mnie, Panno święta!

Z tej pociechy wielce rada
banda biednych, małych świnek
wkrótce w słodki sen zapada,
nos wetknąwszy w puch pierzynek.

Z Butką trudu jest najwięcej –
ani drgnęła jej powieka,
kiedy wziąwszy ją za rękę
matka z niej sukienki zwleka.

Sapie przy tym tak szczęśliwie,
że majstrowa ją przyciska
i całuje w pyszczek tkliwie...
Wtem, gdy na nią patrząc z bliska

rysów szuka swej dziecinki,
widzi – że pierścionek złoty
pulchną łapkę małej świnki
węzowymi objął sploty.

Znów niepokój matkę ściśnie –
smutnie patrzy na Sobótkę.

Czyżby mała lekkomyślnie
skradła komu tę błyskotkę?

Boże drogi! Boże miły,
co te smyki nabroili!

Z wolna pierścień drżącą dłonią
ściąga – kładzie pod obrazem,
gdzie Padewski się Antonio
chyli, z dobrych ócz wyrazem.

Lecz gdy wraca od łóżeczka,
w którym szósta śpi świneczka,
raptem oczy słoni ręką,
bo ujrzała przez okienko,

że ptak jakiś w pierścień wlepia
dwa świecące, krągłe ślepia.

Szybko, krzyża czyniąc znaki,
zatrząskuje okiennicę.
Mary to? Czy wilkołaki?
Wszędzie dziwy, tajemnice...

Lecz już zgadnąć się nie sili,
czego chce ten opętaniec.
Wzdycha, nisko głowę chyli
i odmawia swój różaniec.

Gdy tak klęczy na podłodze,
zadrzemało się niebodze.

Wtem do uszu Imć Niedzieli
dobiegł jakiś głos z gościńca.
Majster, ile sił w gardzieli,
śpiewa, laską czyniąc młyńca:

*Pije Kuba do Jakuba,
Jakub do Michała,
pijesz ty, piję ja,
kompanija cała!*

Matka porwie się na nogi,
szybko w światło lampy dmucha,
bo już majster wchodzi w progi,
wyśpiewując z miną zucha:

*A kto nie wypije,
tego we dwa kije:
łupu, cupu po kozuchu!
tego we dwa kije!*

Tu się majster z animuszu
w izbę wtoczył w kapeluszu.

Ledwie jednak spojrzął wkoło,
poznał swoją połowicę,
zdział kapelusz, otarł czoło
i strapiło mu się lice.

– Oj, zonusiu, oj, Niedziółko,
tak i chodzę, chodzę w kółko.
A tu niby księżyc świeci,
a ja szukam, szukam dzieci,
tak i chodzę, chodzę, chodzę,

a tam świeci się przy drodze
i wypilem kieliszeczek
tak za zdrowie mych dziatczek

i za twoje, mam, zdrowie...
I... i szum mam teraz w głowie!

Jeden duży i dwa małe
i zalałem troszkę pałę.
Widzisz, żonciu, to nie dziwy,
gdy kto taki nieszczęśliwy!

Tu pan majster w głos zaszlocha,
toć on dziatki z serca kocha!

– Cyt, cyt, Tydziu... drogi, miły,
Bóg wysłuchał prośby matki,
dzieci nasze powróciły,
troszkę tam zniszczyły szatki,
różne przejścia miały, tatku,
bo zbłądziły na ostatku.

Wielki z tego był ambaras,
tylko... stygnie nam wieczera.
Chodź, opowiem wszystko zaraz... –
Ciagnie majstra do alkierza.

Ale majster, szczęśliw wielce,
ręce składa: – A, wisielce!
Moje małe, drogie smyki!
Jutro, tego, dam im wnyki,
jutro, tego, będzie lanie,
furdum, burdum, mocium panie!

Ale dzisiaj, panie tego,
ucałuję raz każdego!

Żona go za połę chwyta.
– Nie, nie, Tydziu, chodźże ze mną,
ujrzesz dzieci, gdy zaświta,
teraz przecie w izbie ciemno.
Zrobisz rwetes, zrobisz hałas
i pobudzisz dziatki zaraz!

I gwałtowną czując trwozę,
dłońmi mu zagradza drogę.

Ale majster ją odpycha.
– Duszko moja, cóż u licha,
cóż takiego im się stanie,
choć ich zbudzę, mocium panie?!

Pocałuję raz każdego,
raz przytulę ich do serca.

Przeciem ojciec, panie tego,
a nie żaden ludożerca!

O straszliwej męki chwila!
Widzi matka, jak się schyla
i jak wielkie swe wąsiska
w puch poduszki białej wciska.

Pocałował – bez hałasu,
ale zamiast lic atłasu
na buziakach swych dziewczynek
wyczuł ostry włos szczecinek.

Czyżby go zamroczył trunek?...
Drugi składa pocałunek
i znów, rzecz to niepojęta,
w usta kłuje szczeń przekłętą.

Szybko się do chłopców zwraca,
po poduszkach dłońmi maca
i z okropnym strachem w duszy
czuje świńskie ryjki, uszy,
świńskie karczki, świńskie brzuszki,
ułożone na poduszki.
Otulone i nakryte
śpią prosięta jak zabite.

Wtedy krzyknął majster: – Żono!
Uczyliś rzecz szaloną!
Odkądże ci się zachciewa
mieć za dzieci świnie z chlewa!
Precz mi z łóżka, precz, prosiaki,
ja się wam tu dam we znaki!
–I gniew taki w majstrze zbiera,
że pierzynki z malców zdziera,
a że w głowie okowita
szumi – nóż ze stołu chwyta.
Z nożem leci do Sobótki!
Jeden błysk jak mgnienie krótki
i... coś hukło na kształt gromu,
aż się wstrząsała chatka cała...

To w Królewny szklanym domu
wiotka postać się zachwiała –
o marmury lustro jętko
i w sto części się rozpękło,
a Królewna na kobierce
padła, dłońmi cisnąc serce.

I już nie wie Wróżka biała,
że ocalił jej maleńką
kruk – co szybciej niżli strzała
przez wyrwane wpadł okienko.
Że zakrakał na pułapie
tuż nad głową jej dziecięcia
i pierścionek dzierząc w łapie,
w głos wymówił te zaklęcia:

„Na usilne me żądanie,
Cud–Królewny rozkazanie,
zanim pamięć słów uleci,
niech się świnki zmienia w dzieci!”

Że na wronki skinał potem
i że znikli z piór łopotem.

Nie wie też, że majster biedny
krzyża zrobił ruch bezwiedny,
że ujrzawszy czarne ptaki
nóż wypuścił z drżącej dłoni,
myśląc, że to są majaki,
że mu wódka w uszach dzwoni...

Bo gdy spojrział znów na łożę,
ujrzał małe swe nieboże,
jak zwinięte na kształt kulki
śpi podparte rączynami
i owite w biel koszulki
razem z Środą i chłopcami.

Wtedy z twarzą łzami zlaną
padł przed żoną na kolano,
krzycząc: – Nigdy, żono luba,
nie zaleję więcej czuba!
A Niedziela rozrzewniona
czule wzięła go w ramiona.

Po czym mąż i żona społem
z rozjaśnionym klękli czołem
i pobożne wznieśli pienie
za dziatczek ocalenie.

A gdy wreszcie z klęczek wstali,
znów serdecznie się ściskali
i pokładli się z kolei
pełni szczęścia i nadziei.

Cyt... usnęła majstrów para,
słysząc jeno tyk zegara.

ROZDZIAŁ X

Jaki gość nawiedził domek państwa majstrów i co w snach Butki wy- czytał

Śpią Imć Tydzień i Niedziela,
postulały dziatki oczy.
Noc nad domkiem się rozściela,
noc ciemnością izbę mroczy.

Drzy płomyczek lampki słaby,
płynie letniej nocy gwara,
gdzieś kumkają sennie żaby –
w izbie słyszeć tyk zegara.

Wtem na jego białej tarczy
poruszyła się wskazówka...
W pudle głośno coś zawarczy
i wyskoczy ptasia główka.

Kuku! kuku! kuku! Drze się,
aż się głos po izbie niesie;
wykukała północ z śmiechem
i w głąb skryła się z pośpiechem.

Coś w zegarze głucho trzasło
i... światełko lampki zgasło.

Wtedy nagle, w wnętrzu chaty,
zapachniały cudnie kwiaty
i spłynęła w nocną ciszę
z niewidzialnych dłoni grajka
pieśń – co tuli i kołysze,
pieśń czarowna niby bajka.
Pieśń, co barwę bierze z tęczy,
pieśń, co pąki róż rozchyła,
co na strunach serca dźwięczy
i na skrzydłach gra motyla.
Pieśń, co koi i weseli –
z pieśnią spływa – pani w bieli.

Sunie jasna i przezrocza,
lekka, cicha i powiewna,
jak pachnący kwiat – uroczą,
kryształowa Cud–Królewna.

Uśmiechnięta czule, słodko,
lice chyli nad Sobótką.

Wolno bierze ją w ramiona
i na brzegu łoża siada,
i przytula ją do łona,
i najdroższe liczko bada.

Miękkie włosy pięknej Wróżki
oplatają niby wieńce
Butki plecki, Butki nóżki,
całe ciało jej dziecięce.

W złocie włosów, jak w kolebce,
śpi najmiłsza jej dziewczuszka,
Wróżka tuli ją i szepce
w bijącego takt serduszka:
– Butko, maleńka,
słodka dziecino,
przyszłam do ciebie
cichą godziną.
Przyszłam do ciebie,
ptaszku maleńki,
by ci wyszeptać
słowa podzięk.

Za twoją sprawą,
dzidziusiu miły,
wszystkie me więźnie
w dom powróciły.

Już mi ich smutek
serca nie truje,
więc się radosna
i wolna czuję.

I chodzić będę
w wonnym ogrodzie,
i snuć marzenia
w cichym zachodzie,
że nauczone
na twym przykładzie
przybiegną dziatki
igrać w moim sadzie.

Przez złote wrota,
jak szczęścia gońce,
wbiegną i wniosą
radość i słońce!
I pusty pałac
rozdzwoni echem,
dziecięcym gwarem,
dziecięcym śmiechem.

I zamyślane
utoną oczy
w dziecięcej duszy
toni przezroczej...

Aż znów odlecą
ptaszęta złote
i w dal poniosą
moją tęsknotę...
Tak w różowe Butki uszka
cichym głosem szemrze Wróżka
i znów garnie ją i tuli
w woniejących włosów luli.

– Czymże cię, Butko,
wdzięczna nagrodzę?
Czymże dzieciństwa
lata osłodzę?
Dni twych minionych
niech pamięć wskrześnie,
marzenia twoje
ukaż mi we śnie.
Za hart twój, Butko,
za twoje męstwo wszystko,
co pragniesz,
dam ci, maleństwo.

W pierścień zdobną, lekką ręką
nad jej czółkiem krąg zatoczy
i przygarnie znów maleńką,
i w zamknięte patrzy oczy.

Lecz nie może u dzieciny
snów rozplątać gmatwaniny,
bo każdziutkie jej życzenie
znika – niby okamgnienie.

Parę łyżek miodu w garnku –
nie skończona kiedyś bajka –
jakaś lalka na jarmarku –
piernik w kształcie Mikołajka –

znalezione jajko kurki –
jakieś szkiełko, jakieś sznurki –
rzemiennego sprzączka paska –
jakiś guzik, strzęp obrazka...

(Skarby, które chłopcy mali
zwykle Butce wydzierali).

To w jej snach się teraz kręci,
to jedynie ma w pamięci.

Patrzy Wróżka zadumana –
Butka śmieszy ją i wzrusza,
jakże to skomplikowana
jest małego dziecka dusza!

Lecz te strzępki, te błyskotki
toć to rzeczy bez znaczenia...
Czyż nie znajdzie u Sobótki
większych pragnień lub marzenia?

Wtem spostrzegła, że różowa
buźka dziecka się uśmiecha,
ustka szepcą jakieś słowa,
w całym ciałku drży uciecha.

Gdzieś chcą biegać małe nóżki,
w włosów płacząc się atłasie,
a rozwarte jej paluszki
coś uchwycić pragną, zda się.

(To w ogródek, co malutki
wyrósł nagle wkoło Butki
i owocem ciężkim gnie się,
sen tłusciutką Butkę niesie).

Biegnie, biegnie za morelką,
za brzoskwinią, za jabłuszkiem,
tu znów gruszkę goni wielką
z smakowitym, kraśnym brzuszkiem.

Już się zdaje, że dziewczeczka
w buzi słodycz soku czuje,
tak jej drobne drżą usteczka,
tak języczkiem coś smakuje.

Ale obraz w dal ucieka!
Wokół Butki głucha pustka,
żał twarzyczkę jej powleka,
w podkóweczkę zgięła ustka

i z wyrazem smutku, nudy –
śpi cichutko – tak jak wprzód.

Za to twarz Królowy biała
niby zorza zrózowiała,
bo wyraźnie teraz widzi,
za czym tęskni małe dzidzi.

Na buzieńkę swej dzieciny
pocałunków spada gradem...
W dołek wkłada ją pierzyny
i uchodzi – duchów śladem.

Pierwsze kury pieją w dali.

Lampka się jak pierwej pali
a w mrok izby, przez okienko,
zagładają: świt z jutrenką.

ROZDZIAŁ XI

W którym marzenie Sobótki zamienia się w rzeczywistość

Słońce stało już wysoko,
gdy dźwignęła się z pościeli,
przecierając senne oko,
postać zacnej Imć Niedzieli.

Co to? Siódma już godzina?
Skądże jej się tak zasnęło!

Tu z wysiłkiem przypomina,
co w wczorajszym dniu się stało.

Co to było? Wielki Boże!
Czy to prawda, czy sen może?
Aż uwierzyć trudno prawie,
że to działo się na jawie...

Okiem rzuca na posłanie:
śpią najmilsze jej dziecieczki,
a tu leży ich ubranie –
zdarte suknie i majteczki.

Toż ją znowu czeka praca!
Co za dziury! Co za dziury!
Suknie bada i przewraca,
czoło jej zaległy chmury.

Oj, przebrały smyki miarę!
Już majstrowej nic nie wzruszy,
niech dostaną dobrą karę,
niech im ojciec da za uszy.

Niech pocierpią raz dziecieczki,
skoro nie ma na nie rady...
A wtem zbladła... nuż z wycieczki
pozostały inne ślady?

Imć majstrową przeszły dreszcze,
dłonią sięga w głąb pierzynek

i...wyciąga – ciepłe jeszcze
skórki sześciu małych świnek!

Szybko, modląc się po cichu,
po drabinie w górę pnie się
i do skrzyni, co na strychu,
dowód hańby dzieciak niesie.

Wielka w niej wezbrała ulga,
gdy zapadło wieko skrzynki,
i pośpiesznie w dół się kulga,
jakby za nią gnały... świnki!

A tymczasem, tak jak co dnia,
hałas zerwał się na dole –
to dzieciaczki Imć Tygodnia
rozpoczęły już swawolę.

Tu poduszka w górę lata,
aż się sypie wkoło pierze,
ten warkocze siostrom splata,
tych dwóch się za czuby bierze.

Zgiełk przerwało wejście matki.
Oj, surową ma dziś minę!
W rękach trzyma ich manatki
i...rzemienną dyscyplinę.

Wszystkie rzeczy te w paradzie
na zydelku majstra kładzie.

Pospuszczały główki zuchy,
nikt nie śmieje się, nie szepce,
słysząc brzęk lecącej muchy...
makiem zasiał w ich izdebce.

Czy nie boskie to skaranie?
Jak zamówił, będzie lanie!

Lecz że ojciec jeszcze chrapie,
banda matkę w krąg otoczy;
każdy ją za szyję łapie,
każdy jej zagłada w oczy.

– Mamo! Mamciu! Rybko! Kiciu!
Ocal dzieci przed kłopotem,
nie zbroimy nigdy w życiu,
tylko nie mów ojcu o tym!

– Daj, mateczko, szatki inne! –
Czwartek chlipie. Piątek jęknie
i na prośby ich dziecinne
serce matki jak wosk mięknie.

Takie miłe te nicponie!
Tyle rączek ją oplata,
tak się tulą, garną do niej...
Niech tam! Suknie im wyłata.

I poczciwa Imć Niedziela
nowe szatki im rozdziela.

Toż to radość! Toż to pycha!
Duszą dziatki Imć majstrową,
aż z radości każdy prycha,
przywdziewając suknię nową.

Właśnie był to dzień świąteczny
(zwykle w święto uroczyste
każdy stara się być grzeczny
i mieć twarz i ręce czyste).

Grzeczne są i majstrów dzieci.
Chłopcy gęste mają miny –
każdy pozór ma waszeci,
od nóg bosych do czupryny!

Mała Butka z miną hardą
kręci się jak krągła kulka,
bo wspaniałą swą kokardą
oczarować chce ojczulka.

– Tato! – krzyczy. – Na śniadanie!
Wstawaj, tato, mocium panie! –
I w zamknięte drzwi alkierza
piąstką raz po raz uderza.

Lecz się próżno Butka trudzi:
majstra – nic dziś nie obudzi.

Urażona tym dziecina
już odbiegła do okienka,
po krzeselku się wospina
i w otwartym oknie klęka.

Aż tu w rączki jak nie klaśnie,
jak nie krzyknie, jak nie wrzaśnie,
jak nie piśnie jak najgłośniej:
– Patscie, patscie, co tam lośnie!

Oglód, oglód mój malutki!
Oglód psysed do Sobótki!

Mamo! Mamo! Dzieci! Dzieci!–
I jak piłka na dwór leci.

Zatupały dziątek pięty,
wzniósł się ciemny obłok kurzu;
pędzą – a tu świat zaklęty
czar roztoczył na podwórzu.

Sad prześliczny, karłowaty,
z owocami przepysznymi,
raptem wkoło białej chaty
wyrósł – niby grzyb spod ziemi.

Patrzą dzieci, matka patrzy,
wśród gałązek coś szeleści...
To na korze od szkła gładziej
złoty napis wszystkim wieści:

*Za szlachetność jej serduszka
Butce w dani składa – Wróżka.*

Matka Butkę wpół porywa,
łez potokiem twarz jej zlewa,
upojona i szczęśliwa
w czarodziejskie patrzy drzewa
i krzyż znacząc nad jej czółkiem,
woła: – Butko! Tyś aniołkiem!

Piszczą dzieci, szlocha matka,
biegnie ta i ta sąsiadka,
pędzą dziewczki, czeladniki,
„Hura!” – drą się uliczniki.

Każdy gapi się i pyta,
każdy złoty napis czyta.

A maleńka bohaterka
to na sad swój z dumą zerka,
to na gałąź ponad daszkiem,
gdzie gawronek z gawronaszkiem
dziobem kręcą w lewo, w prawo
kracząc Butce: – Brrawo! Brrawo!

Słyszac tyle zgiełku, wrzawy
majster rzucił też posłanie

i wychylił nos ciekawy,
i zakrzyknął: – Mocium panie! –
I z ust mu wypadła fajka...

I skończona moja bajka.

